

# Kto najbardziej kocha przyrodę?

*Na zarosniętych ścieżkach...*

Jednym z ulubionych zajęć polskich ekologów jest licytowanie się w kwestii miłości do przyrody. „Ja kocham ją najbardziej”, „My kochamy jeszcze mocniej” – tak się przekrzykują. Ale słuchając ich nie sposób nie odnieść wrażenia, że chodzi tu o zupełnie inną miłość – o miłość własną.

Przyroda jest tu tylko tłem do przyziemnych rozgrywek ludzi, do ich wybujałych wyobrażeń na swój temat, swoistą podpórką we wspinaczce na podium. Zza zasłony słów o szacunku wobec Natury często wyziera ludzka natura. Ta sama, która jest odpowiedzialna za człowieczą arogancję wobec ziemskiego ekosystemu. Nie ma bowiem takiego mechanizmu, który każde odrzucenie antropocentryzmu zamieniałby automatycznie na bio- czy ekocentryzm, nawet jeśli tak chcieliby teoretycy wszelkich możliwych „etyk ekologicznych”. Znacznie częściej nowa przystań dawnych antropocentrystów nazywa się egocentryzmem.

Stąd właśnie tak rozpowszechniony w świecie ekologów zwyczaj licytowania się w kwestii miłości do przyrody. Bo Pan Ekolog musi całemu światu, a przede wszystkim swojej duszyczce pokazać, że to właśnie on jest tym najlepszym. Jak często chodzisz do lasu? Jak skromnie żyjesz? Ile dzikich gatunków potrafisz rozpoznać? W ilu ekologicznych akcjach brałeś udział? Od ilu lat nie jesz mięsa? I tak dalej – to tylko pierwsze z brzegu hasła z ekologicznych rankingów, mających unaoocnić „kto tu rządzi”.

Podły, konsumpcyjny, technologiczny świat rywalizuje o to, kto zgromadzi najwięcej forsy, przywiezie z safari najbardziej okazałe trofeum, ma najlepszy samochód, czyja willa jest większa, a mąż/żona najbardziej przypomina popularnego aktora lub top modelkę. Natomiast ekolodzy, na ogół zresztą niezbyt zdolni do konkurowania w ww. dyscyplinach, zmagają się na płaszczyźnie gromadzenia oznak statusu i wyznaczników hierarchii cenionych w ich mikro-populacji. Mechanizm jest w obu przypadkach ten sam, inne jedynie atrybuty władzy, prestiżu i bogactwa.

Sama dyskusja o osiągnięciach byłaby rzeczą świetną, bo pozwalającą nazwać pewne sprawy po imieniu, oddzielić ziarno od plew, wypracować jakiś konsens, zastanowić się nad tym, co i jak robić. Ale wymagałoby po pierwsze uczciwości intelektualnej i etycznej, po drugie – bezstronnego arbitra spoza kręgów „samyh swoich”, a po trzecie – umiejętności krytycznego spojrzenia nie tylko na przeciwnika, ale i na samego siebie. Żaden z tych warunków nie jest jednak w eko-światku spełniony, więc dominuje w nim bełkot sfrustrowanych guru, którym coraz bardziej zaczyna doskwierać brak wyznawców.

Niedawno czytałem w pewnej eko-gazecie wywody długie, zawile, mało konkretne i sprowadzające się w zasadzie do jednego. Streszczenie ich brzmiałoby mniej więcej tak: „my [autorzy wywodu] i nasi obecni kolesie jesteśmy najlepszymi ekologami, a wszyscy pozostali ekolodzy są źli”. Tyle zajęłoby to miejsca, gdyby nie musiano przy okazji załatwić osobistych porachunków, oczywiście pod płaszczykiem troski o przyrodę i ruch ekologiczny, bo to się lepiej „sprzeda” niż zwykła pyskówka. Żeby było całkiem zabawnie, krytykowano tam postawy, które autorzy wywodu sami praktykują lub całkiem niedawno akceptowali. Co się zatem zmieniło? To, że dawni współpracownicy stanowią dzisiaj konkurencję w wyścigu na eko-podium, więc trzeba im dołożyć. A dołożyć można zawsze, bo jak mawiał pewien komunistyczny zbrodniarz, „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”.

Na szczęście poza półświatkiem ekologów istnieje sama przyroda i osoby, które ją kochają, wyrażając to słowami znacznie bardziej autentycznymi niż te zapelniające eko-gazety. Tuż przed lekturą wspomnianego wywodu odwiedziłem Pojezierze Drawskie, gdzie przyroda piękna i dzika, jej

zawodowych obrońców niewielu, a ludzie rywalizują raczej o minimalną pensję niż o najwyższe miejsce w „zielonym” rankingu. Ponieważ najmiłsze prezenty otrzymujemy wtedy, gdy się ich nie spodziewamy, właśnie tam spotkałem miłośnika przyrody - takiego, jakich chciałbym częściej spotykać w ruchu ekologicznym, bo wtedy byłby on mniej „toksyczny”, no i zapewne bardziej skuteczny w dziele obrony biologicznego dziedzictwa.

Płynęliśmy po jeziorze Drawsko w towarzystwie starszego mężczyzny, na oko 50-latka. Prostymi słowami prostego człowieka opowiedział, dlaczego zamieszkał w tym miejscu Ziemi. Uczynił tak, gdyż urzekła go przyroda i to właśnie ona sprawiła, że wśród głębokich jezior i przepastnych lasów postanowił zapuścić korzenie po latach przeróżnych wędrówek za chlebem. Opowiedział nam o pobliskim gnieździe orła bielika, znajdującym się na jednej z wysp - choć pływa po jeziorze codziennie, widział owego króla przestworzy raptem kilka razy. Zachwycał się jego lotem, sylwetką wielkiego ptaka na tle nieba, żałował, że nie udało się uwiecznić tego majestatu na fotografii. Człowiek ów mówił to wszystko z przejęciem i autentycznym uczuciem, a jego oczy były spokojne, rozmarzone, naznaczone blaskiem zachwyty. Zupełnie inne niż zimne, nienawistne spojrzenia uczestników wyścigu spod znaku „kto najbardziej kocha przyrodę”.

Remigiusz Okraska